

Powstań!

1 października 2008

Być może polskie powstania były „szaleńcze”. Ale drobnomieszczańska kalkulacja, zwana „realną polityką”, jest stokroć gorsza.

Dyskusje na temat celowości polskich powstań ożywają ostatnio szczególnie intensywnie, bo i sama celebracja rocznic zrywów niepodległościowych jest bardziej huczna i uroczysta niż niegdyś. Akcja rodzi reakcję – im więcej szumu wokół powstania warszawskiego, tym więcej komentarzy o „bezsensownym szafowaniu życiem Polaków”, „szaleńcach, którzy posłali kwiat młodości na pewną śmierć”, „samobójczej polityce” itd. Jest to tym bardziej zrozumiałe, gdy historię zaprzęga się do bieżących interesów i politycznych gier. Nie trzeba być ani przeciwnikiem powstań, ani zwolennikiem „realizmu politycznego”, by odczuwać niestosowność sytuacji, w której w pierwszym szeregu składających hołd powstańcom widzimy osoby pokroju pośła Gosiewskiego. Na myśl przychodzi wówczas znany aforyzm Bernarda z Chartres – „Jesteśmy karłami na ramionach olbrzymów”, tyle że nabiera on zupełnie odmiennej wymowy niż w oryginale.

Tym, co zwraca uwagę, jest nasilenie krytyki powstań ze strony środowisk, które dotychczas raczej nie przejawiały takich skłonności. Wywody spod znaku „politycznego realizmu”, niechętnie wobec tradycji powstańczej, były przez długie lata domeną grup i myślicieli konserwatywnych, a zwłaszcza endeckich. Stanowiły wręcz żelazny punkt tych doktryn. Endekom nie podobała się w zasadzie żadna „gwałtowna” akcja polityczno-militarna, od powstania kościuszkowskiego, przez listopadowe i styczniowe, rewolucję 1905 r., Legiony, po powstanie warszawskie. Wedle tej koncepcji, zagrożenia można przeczekać przycupniętym niczym zając pod miedzą, a wolność wymodlić lub wyżebrać gabinetowymi intrygami. Nawet gdyby było to realne, pozostaje jeszcze styl.

Nie miejsce tu na pastwienie się nad endecką wizją historii. Ważniejsze jest natomiast to, że dziś krytyką „szaleńczych” i „romantycznych” zrywów powstańczych coraz częściej zajmują się ludzie nie mający nigdy do czynienia z endeckimi koncepcjami, a nawet wrodzy im. Wątpię jednak, aby oznaczało to triumf logiki zawartej w „realnej polityce”. Mamy raczej do czynienia z triumfem drobnomieszczaństwa, z kolejnym wydaniem „małej stabilizacji”, a także z komfortową sytuacją, w której o nic nie trzeba się bić, bo nie dość, że wszystko mamy podane na tacy, to w dodatku zapomnieliśmy, na czym miałyby polegać ryzykowna walka.

Przeciw tradycji powstańczej można znaleźć wiele argumentów, które noszą znamiona sensu. Fakty mówią zresztą same za siebie – klęski, represje, zniszczenia materialne, a przede wszystkim strata tysięcy ludzkich istnień, nierzadko rzeczywiście najlepszych z najlepszych w danym okresie dziejowym. Zapewne podczas każdego z powstań popełniono liczne błędy – od samej decyzji o rozpoczęciu walki, przez wybór jej momentu, przeszacowanie atutów własnych i niedoszacowanie tych przeciwnika, a na sposobie prowadzenia działań kończąc. Analizowane chłodnym okiem, po upływie czasu, spora część powstańczych działań wydaje się pozbawiona sensu. Sądzę jednak, że tradycja powstańcza nie tylko jest warta ocalenia i możliwa do obrony. Jest ona także wartościowa. Z dwóch powodów.

Pierwszy jest mniej ważny. Przede wszystkim, nieuczciwe jest przedstawianie historii Polski jako pasma klęsk militarnych. To nie tylko powstanie wielkopolskie, z ironią i zarazem wyższością nazywane „jedynym zwycięskim”, przełamuje ten schemat. To także powstania śląskie, które trudno uznać w ostatecznym rozrachunku za klęskę. Wręcz przeciwnie – mając na uwadze sytuację wyjściową, układ sił w regionie, a także mizerne wsparcie ze strony władz polskich, należy uznać II i III Powstanie za znaczny sukces. Nie inaczej było z równie „szaleńczym” i „lekkomyślnym” stworzeniem Legionów, których

siła militarna i znaczenie wojskowe nie należały do oszałamiających, jednak zupełnie inaczej należy ocenić wymiar propagandowy „na zewnątrz”, a także z punktu widzenia kształtowania świadomości Polaków żyjących od ponad wieku w trzech oddzielonych organizmach państwowych. Do równie „romantycznych” zrywów, choć nie zbrojnych, które przyniosły przynajmniej połowiczne zdobycze należy też zaliczyć rok 1956, wskutek czego nacisk zamordyzmu zelżał. Jeszcze bardziej widać to w przypadku Sierpnia '80, bo jego pozytywnego wymiaru nie kwestionuje nawet większość endeków, pomijając komunistycznych kolaborantów z okolic „Grunwaldu”, PAX-u itp.

W tym aspekcie ważną rolę odgrywa również moment formułowania ocen i ostrzeżeń. Łatwo dziś, znając całokształt wydarzeń i ich przebieg, wskazywać błędy i wytykać potknięcia popełnione 150 czy 50 lat temu. Uzbrowieni w drobiazgową analizę historyków, chłodno rozważający różne „za” i „przeciw”, zapewne jesteśmy w stanie formułować lepsze diagnozy niż te, które dominowały, gdy podejmowano decyzje odnośnie do interesujących nas wydarzeń. Mało który ze zwolenników uczestników przegranych powstań miał tak wielką wiedzę i możliwość równie zdystansowanej analizy, jak te, którymi dziś dysponuje ktoś, kto choć trochę interesuje się przebiegiem i realiami ówczesnych wydarzeń. Z tego rodzaju ocen, a zwłaszcza moralizowania, wynika niestety równie niewiele, co z refleksji starca, który u schyłku życia już wie, że popełnił w młodości wiele błędów, które zaważyły na jego późniejszych losach.

Jednak znacznie ważniejszym argumentem jest w moim odczuciu nie to, co mieści się w sferze faktów, logiki i analiz, lecz w wymiarze moralnym czy wręcz emocjonalnym. Zdaję sobie sprawę, że to sfera śliska, bowiem „realiści” poddają krytyce właśnie nadmiar emocji, a niedostatek chłodnego spojrzenia podczas podejmowania decyzji o rozpoczęciu powstań. Mnie interesuje jednak nie to, co już było i czego nikt nie jest władny zmienić. Interesuje natomiast to, co z przeszłością można zrobić dzisiaj.

Gdy Piłsudski pisał w liście do Feliksa Perla w 1908 r., że nie potrafi żyć w panującej wedle niego w Polsce „wychodkowej atmosferze”, trafnie wskazywał na kluczowy problem związany z wartością „myśli powstańczej”. Powstania wybuchały w Polsce być może w momencie najmniej odpowiednim z militarnego punktu widzenia. Wybuchały jednak nieprzypadkowo wtedy, gdy z jednej strony rozmaicie pojmowany i uwarunkowany realizm opanowywał umysły większości, z drugiej zaś aktualny wróg czerpał korzyści z takiego stanu rzeczy. Wówczas garstka, która nie mogła znieść „wychodkowej atmosfery”, jałowego czekania, dzielenia włosa na czworo, nieustannego rozważania „za” i „przeciw”, robiła coś faktycznie „szaleńczego”. Owszem, nierzadko przegrywali z kretesem, kosztem wielkich ofiar. Ale uchylali okno i wpuszczali nieco świeżego powietrza.

Gdy dziś głosy potępienia pod adresem powstań dobiegają ze środowisk innych niż te tradycyjnie sceptyczne wobec takich postaw, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że dawno nikt nie uchylił okna. Widać to wszędzie. Badania socjologiczne pokazują, że Polaków nie interesuje nic poza czubkiem własnego nosa, co w sytuacji, gdy jesteśmy społeczeństwem „zacofanym” oznacza nie egoistyczny indywidualizm, lecz apoteozę „życia rodzinnego”. Nie angażują się w życie publiczne, znajdując tysiące wymówek. Nie robią nic dla dobra wspólnego, za to mnóstwo energii trawią na wymyślanie karkołomnych teorii, z których wynika, że „nikomu nie warto ufać, bo wszyscy chcą mnie wydymać”. Mają pełne gęby frazesów podczas internetowych pyskówek, ale w sferze publicznej nie potrafią zareagować na nawet najbardziej dotkliwe przykłady chamstwa. Owszem, przy wódce każdy Polak jest odważny – nienawidzi polityków i szefa z pracy, ale to przecież on wybrał tych pierwszych i to on pokornie przytakuje temu drugiemu. I oczywiście nie odmówi sobie ani jednej butelki, aby sfinansować niezależną partię czy związek zawodowy, który nauczyłby szefa moresu. Gdy od takich ludzi słyszę, że powstania to „szaleństwo”, myślę sobie, że faktycznie jest to realizm – tyle, że żywego trupa.

Jeszcze jedna przyczyna wydaje mi się tkwić u podstaw „nie-endeckiego” krytycyzmu wobec powstań. Dziś, przy wszystkich swoich wadach i niedogodnościach, przy istniejących obszarach biedy i patologii, Polska stanowi na tle poprzednich epok niemal eldorado. Pokolenie dzisiejszych dwudziesto-, czterdziesto-, a nawet sześćdziesięciolatków nie jest sobie w stanie wyobrazić, czym jest wojna, zagrożenie bytu jednostkowego i zbiorowego przez wrogie, obce państwo, czym jest powszechna i nieustanna świadomość potencjalnej utraty życia. Dziś nawet prawicowi fani Ernsta Jüngera i lewicowi miłośnicy „Che” Guevary to na ogół ciepłe kluchy, które co najwyżej na internetowych forach „walczą” ze „zgnilizną moralną” lub z „faszystowskim zagrożeniem” aż leje się krew, o przepraszam – kilobajty.

Bez wątpienia część decyzji o wybuchu powstań była pozbawiona sensu, a jeszcze więcej błędów popełniono w ich trakcie. Ale nawet wielka ilość przelanej krwi nie skłania mnie do potępienia powstań. Ich przeciwnicy zawsze przywołują argument, który mówi, co by było, gdyby – gdyby przeżyli, gdyby nie zginęli, gdyby nie zburzono tego czy tamtego. Ale to pytanie można odwrócić – po co mieliby przeżyć? Po to, żeby zażywali atmosfery wychodka? Żeby wraz z innymi respondentami CBOS-u czy OBOP-u najbardziej cenili „życie rodzinne” i kredyty na zakupy w Castoramie i Ikei? Żeby obserwowali, jak historyczne obiekty, których nie zburzyły wojny, zamieniane są w banki i autosalony, bo taka ponoć jest „konieczność ekonomiczna”? Po to, żeby klepali po całych dniach na klawiaturze wezwania do obrony demokracji przed „Kaczorami” lub do obrony „Kaczorów” przed krwiożerczym Tuskiem? Żeby emocjonowali się tym, iż Krasowski i Michalski napisali coś brzydkiego o Lisickim i Ziemkiewiczzu lub odwrotnie, a oni wszyscy napisali o Michniku, który z kolei dał im odpór piórami Żakowskiego i Andermana? Żeby w każdych kolejnych wyborach głosowali na „mniejsze zło”? Żeby „wywieszali flagę i kibicowali naszym” pod dyktando globalnego koncernu piwowarskiego? Żeby...?

Zawsze, gdy słyszę antypowstańcze slogany, utrzymane w duchu tzw. realizmu, przypominają mi się słowa dwóch piosenek. Pierwszą wykonywał punkowy zespół Ulica, który w piosence „Romantyczność”, inspirowanej tak samo zatytułowanym wierszem Mickiewicza, śpiewał: „Głos namiętności wyżej cenię / Niż mędrców milczenie / Bo beznamiętni nigdy / Nie zmieniają historii”. Ale jeszcze bardziej celny wydaje się fragment piosenki Staśka Wielanka, poświęconej lwowskim i warszawskim nieletnim łobuzom, którzy w godzinie próby równie „szaleńczo” i „krótkowzrocznie” zrobili to, co każdy porządny człowiek zrobić wówczas powinien, choć akurat po nich niekoniecznie się tego spodziewano. „Na Łyczakowskim i Powązkach / Leżą pamięcią otulone / Strącone kulą w pierwszych lotach / Orlęta ledwie opierzone. / Najpierw w wojenkę się bawili / A potem spadła groza święta / Baciary, antki w jednej chwili / Pozamieniali się w Orlęta”. I jeśli ktoś zapyta o sens powstań – „po co nam to było?”, odpowiem: właśnie po to.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Obywatel](#)